Nauka Katolicka.

(POSŁANIEC.)

„Nauka Katolicka“ wychodzi co czwartek w Bochum w Westfalii jako bezpłatny dodatek do „Wiarusa Polskiego“. Osobno „Nauki Katolickiej“ prenumerować nie można. Kto więc chce ją otrzymywać, niech sobie zapisze na poczcie „Wiarusa Polskiego“.



„Wiarus Polski“, pismo polityczne wychodzi trzy razy tygodniowo z „Nauką Katolicką“, jako bezpłatnym dodatkiem. Prenumerata na poczcie wynosi 1 markę 50 fenygów kwartalnie, a z odnoszeniem do domu przez listowego 1 markę 75 fenygów.

Módl się i pracuj!

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Wiarusa Polskiego“.

Nr. 52. **Bochum, dnia 29 grudnia 1898.** **Rok 7.**

Na uroczystość Nowego Roku.

Lekcya. Tyt. II. 11—15.

Najmilszy! Okazała się łaska Boga Zbawiciela naszego wszystkim ludziom, nauczająca nas, abyśmy zaprzawszy się niepobożności i świeckich pożądliwości trzeźwie i sprawiedliwie i pobożnie żyli na tym świecie, oczekiwając błogosławionej nadziei i przyjścia chwały wielkiego Boga i Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa: który dał samego siebie za nas, aby nas wykupił od wszelakiej nieprawości, ażeby oczyścił sobie lud przyjemny, naśladowcę dobrych uczynków. To mów i napominaj w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.

Ewangielia. Łuk. II. w. 21.

W on czas gdy się spełniło ośm dni, iżby obrzezano dzieciątko, nazwane jest imię jego Jezus, które było nazwane od Anioła pierwej, niźli się w żywocie poczęło.

Obrona Częstochowy.

(Ciąg dalszy.)

— Na stu jeden chyba powróci — odrzekł pan Piotr — ale szczęście sprzyja odważnym.

— Bywało się nieraz w opałach — rzekł pan Andrzej — nic mi nie będzie, bo takie moje szczęście! Zresztą, choćby też i przyszło głowę nałożyć, co mi się nie widzi, powiedzcie sami: możnali komu chwalebniejszej śmierci życzyć, jak owo za taką sprawę?...

Ksiądz długo milczał, nakoniec rzekł:

— Perswazyą, prośbami, błaganiem bym cię wstrzymywał, gdybyś sobie jeno do sławy słać drogę pragnął, ale masz słuszność, że tu chodzi o cześć Najświętszej Panny, o ten święty przybytek, o kraj cały! A ty, mój synu, czyli szczęśliwie wrócisz, czyli śmierć męczeńską poniesiesz, sławę, szczęście najwyższe, zbawienie osięgniesz. Przeciw sercu powiadam ci więc: idź, ja cię nie wstrzymuję!... Modlitwy nasze, opieka Boska pójdą z tobą...

— Tedy pójdę śmiele i rad zginę!...

— A wracaj żołnierzyku Boży, a wracaj szczęśliwie, bośmy cię tu pokochali szczerze. Niechże cię Rafał święty prowadzi i odprowadzi, moje dziecko, mój synaczku kochany!

— To ja zaraz przygotowania poczynię — rzekł wesoło pan Andrzej, ściskając księdza — przebiorę się po szwedzku w kolet i koliste buty, prochy naładuję, a wy tymczasem, Ojcze, egzorcyzmy jeszcze na tę noc wstrzymajcie, bo mgła potrzebna Szwedom, ale potrzebna i mnie.

— A nie chceszli wyspowiadać się przed drogą?

— Jakżeżby inaczej? Bez tego bym nie poszedł, bo djabeł by miał przystęp do mnie.

— To od tego zacznij.

Pan Piotr wyszedł z celi, a pan Andrzej klęknął przy księdzu i oczyścił się z grzechów. Potem zaś wesoły jak ptak, poszedł czynić przygotowania.

W godzinę, później, wśród głębokiej już nocy zapukał znowu do celi księdza przeora, gdzie pan Czarniecki czekał także na niego.

Obaj z księdzem ledwie go poznali, taki z niego był Szwed wyśmienity. Wąsy podkręcił pod oczy i rozczapierzył na końcach, nałożył kapelusz na bakier i wyglądał na jakiegoś rajtarskiego oficera.

— Dalibóg, aż człek mimowoli za szablę ima na jego widok! — rzekł pan Piotr.

— Swiecę z daleka! — zawołał pan Andrzej — coś wam pokażę.

I gdy ksiądz Kordecki skwapliwie usunął świecę, pan Andrzej położył na stole kiszkę długą na półtorej stopy, a grubą, jak ramię tęgiego męża, uszytą ze smolistego płótna i wyładowaną do twarda prochem. Z jednego jej końca zwieszał się długi sznurek, ukręcony z kłaków przesyconych siarką.

— No! — rzekł — jak onej kolubrynie tę dryakiew w gębę włożę i sznureczek podpalę, to jej się brzuch rozpęknie.

— Lucyperby się rozpękł! — zakrzyknął pan Czarniecki.

Lecz wspomniał, że nieczystego imienia lepiej nie wymawiać i uderzył się w gębę.

— A czemże sznureczek zapalisz?— spytał ksiądz Kordecki.

— W tem jest całe niebezpieczeństwo wyprawy, bo muszę ogień krzesać. Mam krzemień grzeczny, hubkę suchą i krzesiwo z przedniej stali, ale hałas się uczyni i mogą coś pomiarkować. Sznurka, mam nadzieję, że już nie ugaszą, bo będzie wisiał armacie u brody i go ciężko nawet będzie dostrzedz, że się będzie tlił chciwie, ale za mną mogą się w pogoń puścić, a ja prosto do klasztoru nie mogę uciekać.

— Czemu nie możesz? — spytał ksiądź.

— Bo wybuch by mnie zabił. Jak tylko skrę na sznurku zobaczę, muszę zaraz w bok uciekać co siły w nogach i ubiegłszy z pół sta kroków, pod szańcem na ziemi przypaść. Dopiero po wybuchu będę rwał ku klasztorowi.

— Boże, Boże, ileż to niebezpieczeństw! — rzekł przeor, wznosząc oczy ku niebu.

— Ojcze kochany, tak jestem pewien, że do was wrócę, że się mnie nawet rzewliwość nie ima, która w podobnej okazyi powinna mnie uchwycić. Ale nic to! Bądźcie zdrowi i módlcie się, żeby mi Pan Bóg poszczęścił. Odprowadźcie mnie jeno do bramy.

— Jakże to? Zaraz chcesz iść? — pytał pan Czarniecki.

— Mamże czekać aż rozednieje, albo aż mgła opadnie? Czy to mi głowa nie miła?

Lecz nie poszedł tej nocy pan Andrzej, bo właśnie kiedy doszli do bramy, jak na złość ciemność poczęła się rozjaśniać. Słychać było przytem jakiś ruch przy olbrzymiem dziale.

Nazajutrz z rana przekonali się oblężnicy, że przetoczono je w inne miejsce.

Odebrali bowiem Szwedzi jakoweś doniesienie o wielkiej słabości muru nieco opodal, na zawrocie, koło południowej baszty i tam postanowili skierować pociski. Może i ksiądz Kordecki nie był obcy tej sprawie, gdyż poprzedniego dnia widziano starą Kostuchę, wychodzącą z klasztoru, używano zaś jej głównie, gdy chodziło o rozsiewanie między Szwedami fałszywych doniesień. Bądź co bądź, był to z ich strony błąd, bo oblężeńcy mogli tymczasem naprawić w dawnem miejscu mur, silnie już nadwątlony, a czynienie nowego wyłomu musiało znów zabrać kilka dni.

Noce ciągle były jasne, dni zgiełkliwe. Strzelano ze straszliwą usilnością. Duch zwątpienia znów zaczął przelatywać nad oblężonymi. Byli tacy między szlachtą, którzy poprostu chcieli się poddać; niektórzy zakonnicy stracili także serce. Niezgodność nabierała siły i powagi. Ksiądz Kordecki stawiał jej czoło z niepohamowaną stanowczością, ale zdrowie jego poczęło się chwiać. Tymczasem Szwedom nadchodziły nowe dowozy z Krakowa, mianowicie straszliwe pociski, kształtu rur żelaznych, napełnionych prochem i ołowiem. Te więcej jeszcze strachu, niż szkód przyczyniły oblężonym.

Pan Andrzej, od czasu jak powziął zamiar wysadzenia prochem kolubryny, przykrzył sobie w fortecy. Co dzień też z utęsknieniem spoglądał na swoją kiszkę. Po namyśle uczynił ją jeszcze większą, tak, że miała blisko łokieć długości, a gruba była jak cholewa.

Wieczorem z murów rzucał chciwe spojrzenia w stronę działa, potem niebo rozpatrywał, jak gwiazdoznawca. Ale księżyc jasny, rozświecający śnieg, udaremniał ciągle jego przedsięwzięcia.

Aż nagle przyszła odwilż, chmury zawaliły widnokrąg, i noc uczyniła się ciemna, choć oko wykol. Pan Andrzej wpadł w taki humor, jakby go kto na sułtańskiego dzianeta wsadził, i ledwie północ uderzyła, znalazł się przy panu Czarnieckim w swoim rajtarskim stroju i kiszką pod pachą.

— Idę! — rzekł.

— Czekaj, dam znać przeorowi.

— A dobrze. No, panie Pietrze, daj gęby i ruszaj po księdza Kordeckiego.

Czarniecki pocałował go serdecznie i zawrócił. Ledwie uszedł ze trzydzieści kroków, zabielał przed nim ksiądz Kordecki. Domyślał on się sam, że pan Andrzej wyruszy i szedł go pożegnać.

— Gotów Litwin — czeka tylko na waszą wielebność...

— Spieszę, spieszę! — odpowiedział ksiądz. — Matko Boska, ratujże go i wspomagaj.

Po chwili stanęli obaj przy przechodzie, gdzie pan Czarniecki zostawił pana Andrzeja, lecz go już ani śladu nie było.

— Poszedł!... — rzekł ze zdumieniem ksiądz Kordecki.

— Poszedł!... — odrzekł pan Czarniecki.

— A zdrajca! — mówił z rozrzewnieniem przeor — chciałem mu jeszcze ten szkaplerzyk na szyję włożyć.

Umilkli obaj; milczenie było dokoła, bo dla zbyt ciemnej nocy, nie strzelano z obu stron. Nagle pan Czarniecki szepnął żywo:

— Jak mi Bóg miły, tak nawet nie stara się iść cicho. Słyszysz wasza wielebność kroki? Snieg chrzęści.

— Najświętsza Panno! osłaniajże sługę swego — powtórzył przeor.

Czas jakiś słuchali obaj pilno, dopóki ra-żne kroki i chrzęst śniegu nie ucichły.

— Wie wasza wielebność co? — poszepnął Czarniecki — chwilami myślę, że mu się uda i nic się o niego nie boję. To bestya, poszedł tak, jakby szedł pod wiechę gorzałki się napić.. Co za fantazya w tym człowieku! Dajże mu Boże szczęście, daj mu Boże...

— Tak ciemno, tak ciemno! — rzekł ksiądz Kordecki — a oni się od czasu waszej nocnej wycieczki strzegą. Może na cały szereg wpaść, ani się obejrzy...

— Tego nie myślę; piechota stoi, to wiem i pilnują się bardzo, ale przecie stoją na szańcu, nie przed szańcem, nie przed wylotami własnych armat. Jeśli kroków nie usłyszą, to może się łatwo pod szaniec podsunąć, a potem go sama wyniosłość osłoni... Uf!

Tu sapnął i urwał pan Czarniecki, bo z oczekiwania i trwogi serce poczęło mu bić, jak młotem, a w piersiach tchu mu nie stało.

Ksiądz począł żegnać ciemnosci.

Nagle trzecia osoba stanęła przy dwóch rozmawiających. Był to pan miecznik sieradzki.

— A co tam? — spytał.

— Pan Andrzej poszedł na ochotnika prochami kolubrynę rozsadzać.

— Jakto? co?

— Wziął kiszkę z prochem, sznur, krzesiwo... i poszedł.

Pan Zamojski ścisnął sobie głowę dłońmi:

— Jezus, Marya! Jezus, Marya! — rzekł. — Sam jeden?

— I kto jemu pozwolił? Toż to jest niepodobieństwo!...

— Ja! Dla mocy Bożej wszystko jest podobne, nawet i powrót jego szczęśliwy! — odpowiedział ksiądz Kordecki.

Zamojski umilkł. Czarniecki począł parskać ze wzruszenia.

— Módlmy się! — rzekł ksiądz.

Klękli we trzech i zaczęli się modlić. Ale niepokój podnosił włosy na głowie dwom rycerzom. Upłynął kwadrans, potem pół godziny, potem godzina, długa, jak wieki.

— Już chyba nic nie będzie! — rzekł pan Piotr Czarniecki.

I odetchnął głęboko.

Nagle w dalekości buchnął olbrzymi słup ognia i huk, jakby wszystkie gromy nieba waliły się na ziemię, wstrząsnął murami, kościołem i klasztorem.

— Wysadził! wysadził! — począł krzyczeć pan Czarniecki.

Nowe wybuchy przerwały mu dalsze słowa.

A ksiądz rzucił się na kolana i wzniósłszy ręce do góry, wołał ku niebu:

— Matko Najświętsza! Opiekunko! Patronko, wróć go szczęśliwie!

Gwar uczynił się na murach. Załoga, nic nie widząc, co się stało, chwyciła za broń. Z cel poczęli wypadać zakonnicy. Nikt już nie spał. Nawet niewiasty zerwały się ze snu. Pytania i odpowiedzi poczęły się krzyżować, jak błyskawice:

— Co się stało?

— Szturm.

— Działo szwedzkie pękło! — zawołał Marcin.

— Cud! cud!

— Działo największe pękło! Ta kolubryna!

— Gdzie ksiądz Kordecki?

— Na murach! Modli się! On to sprawił!

— Pan Andrzej działo wysadził! — wołał pan Czarniecki.

— Pan Andrzej! pan Andrzej! Chwała Pannie Najświętszej! Już nam nie będą szkodzili!

Jednocześnie odgłosy zamieszania poczęły dolatywać ze szwedzkiego obozu. Na wszystkich szańcach zabłysły ognie. Słychać było coraz większy rejwach.

Przy świetle ognisk widziano masy żołnierzy, poruszających się bezładnie w rozmaite strony, zagrały trąbki, bębny warczały ciągle;

do murów dolatywały krzyki, w których brzmiała trwoga i przerażenie.

Ksiądz Kordecki klęczał ciągle na murze.

Nakoniec noc poczęła blednąć, lecz pan Andrzej nie wracał do twierdzy.

VIII.

Co tedy działo się z panem Andrzejem i jakim sposobem zdołał przyprowadzić swój zamiar do skutku?

Wyszedłszy z twierdzy, postępował czas jakiś krokiem pewnym i ostrożnym. Przy samym końcu pochyłości przystanął i słuchał. Cicho było naokół, za cicho nawet, tak, że kroki jego chrząściły wyraźnie po śniegu. W miarę też, jak oddalał się od murów, postępował coraz przezorniej. I znowu stanął i znowu słuchał. Bał się trochę poślizgnąć i upaść, a to, aby swej drogocennej kiszki nie zamoczyć, więc wydobył rapier i wspierał się na jego ostrzu. Pomogło to wielce.

Tak macając przed sobą drogę, po upływie pół godziny usłyszał lekki szmer wprost przed sobą.

— Ha! czuwają... Wycieczka nauczyła ich ostrożności! — pomyślał.

I szedł dalej bardzo już wolno. Cieszyło go to, że nie zbłądził, bo ciemność była taka, że końca rapieru nie mógł dojrzeć.

— Tamte szańce są znacznie dalej... więc idę dobrze! — szepnął sobie.

Spodziewał się też nie zastać przed szańcem ludzi, bo właściwie mówiąc, nie mieli tam nic do roboty, zwłaszcza po nocy. Mogło tylko być, że na jakieś sto, lub mniej kroków, stały pojedyńcze straże, ale miał nadzieję łatwo je przy takiej ciemności wyminąć.

W duszy było mu wesoło.

Pan Andrzej nie tylko był to człowiek odważny, lecz zuchwały. Myśl rozsadzenia olbrzymiej kolubryny radowała do głębi jego duszę, nie tylko jako bohaterstwo, nie tylko jako niepożyta dla oblężonych przysługa, ale jako okrutna psota wyrządzona Szwedom. Wyobrażał sobie, jak się przerażą, jak Müller będzie zębami zgrzytał, jak będzie poglądał w niemocy na owe mury i chwilami śmiech pusty go brał.

Chwilami ściskało mu serce uczucie samotności, ale na krótko. Myślał o tem, co ma dokazać, i szedł bez strachu, bez niepokoju, bez myśli — o sobie.

Obejrzał się za siebie raz i drugi. Ni kościoła, ni klasztoru! Wszystko pokryła gruba, nieprzenikniona pomroka. Miarkował jednak po czasie, że musiał już dojść daleko, i że szaniec może być tuż, tuż.

— Ciekawym, czy straże są? — pomyślał.

Lecz nie zdołał ujść jeszcze dwóch kroków od chwili, w której sobie zadał to pytanie, gdy nagle przed nim rozległ się tupot miarowych kroków i kilka na raz głosów spytało w różnych odległościach:

— Kto idzie?

Pan Andrzej stanął jak wryty. Uczyniło mu się nieco ciepło.

— Swój — odezwały się inne głosy.

— Hasło?

— Upsala!

— Odzew?

— Korona!...

Pan Andrzej zmiarkował się w tej chwili, że to straże się zmieniają.

— Dam ja wam Upsalę i koronę! — mruknął.

I uradował się. Była to istotnie dla niego okoliczność nader pomyślna, bo mógł linię straży przejść w chwili zmiany wart, gdy stąpanie żołnierzy, głuszyły jego własny krok.

Jakoż tak uczynił bez najmniejszej trudności i szedł za wracającymi żołnierzami dość śmiało, aż do samego szańca. Tam oni wykręcili, by obejść go, on zaś posunął się szybko ku fosie i ukrył się w niej.

Tymczasem rozwidniło się cokolwiek. Pan Andrzej i za to podziękował niebu, inaczej bowiem nie mógłby po omacku znaleźć upragnionej kolubryny. Teraz, zadzierając z rowu głowę do góry i wytężając wzrok, ujrzał nad sobą czarną linię, oznaczającą brzeg szańca i równie czarne zarysy koszów, między którymi stały działa.

Mógł nawet dojrzeć ich paszcze wysunięte nieco nad rowem. Posuwając się z wolna wzdłuż rowu, odkrył nareszcie swoją kolubrynę. Wówczas stanął, począł nasłuchiwać. Z szańca dochodził szmer. Widocznie piechota stała wedle dział w gotowości. Ale sama wyniosłość szańca zakrywała pana Andrzeja; mogli go usłyszeć, nie mogli zobaczyć. Teraz chodziło mu tylko o to, czy z dołu potrafi dostać się do otworu armaty, która wznosiła się wysoko nad jego głową.

Na szczęście, boki rowu nie były zbyt spadziste, a oprócz tego nasyp świeżo uczyniony, lubo polewany wodą, nie zdołał zamarznąć, gdyż od niejakiego czasu panowała odwilż.

Wymiarkowawszy to wszystko, pan Andrzej począł drążyć cicho dziury w pochyłości szańca i piąć się z wolna ku armacie.

Po kwadransie pracy, zdołał ręką chwycić się za otwór armaty. Przez chwilę zawisnął w powietrzu, lecz niepospolita siła jego pozwoliła mu utrzymać się tak, dopóki nie zasunął kiszki w paszczę armaty.

— Naści piesku kiełbasy! — mruknął — tylko się nią nie udław!

To rzekłszy, spuścił się na dół i począł szukać sznurka, który przyczepiony do zewnętrznego końca kiszki, zwieszał się w rów.

Po chwili namacał go ręką. Lecz teraz przychodziła największa trudność, bo należało krzesać ognia i sznurek zapalić.

Pan Andrzej zatrzymał się przez chwilę, czekając, aż szmer nieco większy uczyni się między żołnierzami na szańcu.

Nakoniec począł uderzać z lekka krzesiwkiem w krzemień.

Lecz w tej chwili nad głową jego rozlegało się w niemieckim języku pytanie:

— A kto tam w rowie?

— To ja, Hans! — odrzekł bez wahania pan Andrzej — stempel mi dyabli do rowu wzięli, więc krzeszę ogień, by go znaleźć.

— Dobrze, dobrze — odrzekł puszkarz. — Szczęście, że się nie strzela, bo samo powietrze łeb by ci zerwało.

— Aha! — pomyślał pan Andrzej — więc kolubryna prócz mego naboju, ma jeszcze swój własny. Tem lepiej.

W tej chwili wysiarkowany sznurek zajął się i delikatne iskierki poczęły biedz ku górze po jego suchej powierzchni.

Czas było zmykać, pan Andrzej więc puścił się, nie tracąc minuty, wzdłuż rowu, co sił w nogach, nie bardzo już zważając na hałas, jaki uczynił. Lecz, gdy ubiegł jakieś dwadzieścia kroków, ciekawość przemogła w nim poczucie straszliwego niebezpieczeństwa.

I zatrzymał się. Rzuciwszy za siebie spojrzenie, ujrzał jeszcze iskierkę, ale już nierównie wyżej niż ją zostawił.

— Ej, czy ja nie za blisko? — rzekł sobie i strach go zdją.

Puścił się znowu całym pędem, nagle trafił na kamień, upadł. Wtem huk straszliwy rozdarł powietrze; ziemia zakołatała się, rozrzucone szczątki drzewa i żelaza, kamienie, bryły lodu, ziemi, zaświstały mu koło uszu i tu przestał słyszeć i rozumieć.

Potem rozległy się nowe kolejne wybuchy. To jeszcze z prochem, stojące w pobliżu kolubryny, wybuchały od pierwszego wstrząśnienia, lecz pan Andrzej już tego nie słyszał, leżał bowiem jak martwy w rowie.

Nie słyszał również, jak po chwili głuchej ciszy rozległy się jęki ludzkie, krzyki i wołania na pomoc; jak na miejsce wypadku zbiegła się blizko połowa wojsk szwedzkich i sprzymierzonych, jak następnie przyjechał sam Müller w towarzystwie całego sztabu.

Harmider i zamieszanie trwały długo, zanim jenerał szwedzki dowiedział się prawdy, że kolubryna została umyślnie przez kogoś rozsadzona.

Nakazano natychmiast poszukiwania. Jakoż nad ranem szukający żołnierze znaleźli leżącego w rowie pana Andrzeja.

Pokazało się, że był tylko ogłuszony, i od wstrząśnienia stracił początkowo władzę w rękach i nogach.

Cały dzień następny trwała niemoc. Leczono go najstaranniej. Wieczorem odzyskał prawie zupełnie siły.

Müller kazał go natychmiast stawić przed sobą.

Zebrali się wszyscy znamienitsi oficerowie. Pan Andrzej blady był i znużenie widoczne było na jego twarzy, ale wzrok miał hardy, twarz spokojną.

— Ty rozsadziłeś kolubrynę? — spytał Müller.

— Ja! — odrzekł pan Andrzej.

— Jakim sposobem to uczyniłeś?

Pan Andrzej opowiedział po krótce, nic nie zataił. Oficerowie spoglądali po sobie ze zdumieniem.

— Bohater!... — szepnął książę Heski.

Pan Andrzej rzekł:

— Więcej jest nas w fortecy do takich uczynków gotowych. Nie wiecie dnia i godziny!

— Mam też więcej, niż jeden stryczek w obozie! — odparł Müller.

— To i my wiemy. Ale Jasnej Góry nie zdobędziecie, póki tam jeden człowiek przy życiu!

Skazano go na śmierć.

IX.

Rozsadzenie olbrzymiej kolubryny przygnębiło rzeczywiście Müllera, wszystkie jego nadzieje wspierały się na tem dziele. Już i piechota była do szturmu gotowa, już przygotowano drabiny i stosy faszyn, teraz trzeba było wszelką myśl szturmu porzucić.

Zamiar wysadzenia klasztoru w powietrze za pomocą podkopów, spełznął na niczem. Sprowadzeni poprzednio górnicy z Olkusza łupali wprawdzie skałę, ale robota szła tępo. Robotnicy padali gęstym trupem od wystrzałów kościelnych, a pracowali niechętnie. Wielu wolało ginąć, niż przyczynić się do zguby świętego miejsca.

Müller widział co dzień wzrastający opór; mrozy odbierały resztę odwagi zniechęconemu wojsku, między którem szerzył się z dnia na dzień przestrach i wiara, że zdobycie tego klasztoru nie leży w mocy ludzkiej.

Wreszcie i sam Müller począł tracić nadzieję, a po wysadzeniu kolubryny po prostu zwątpi.

Nazajutrz skoro dzień, zwołał radę, ale pono dla tego tylko, by od oficerów usłyszeć zachętę do opuszczenia fortecy.

Poczęli się zbierać wszyscy znużeni i posępni. W niczyich oczach nie było już nadziei. Milcząc, zasiedli w ogromnej i zimnej izbie, w której para oddechów poprzesłaniała im twarze i patrzyli z poza niej, jakby z poza chmur.

Każdy mówił sobie w duchu, że nie ma w sobie żadnej rady do udzielenia, chyba taką, z którą się lepiej pierwszemu nie wyrywać. Wszyscy czekali na to, co powie Müller, on zaś kazał przedewszystkiem, przynieść obficie wina grzanego, dufając, że pod wpływem gorącego napitku łatwiej wydobędzie szczerą myśl z tych milczących postaci i zachętę od odstąpienia od owej fortecy.

Nakoniec, gdy sądził, że wino skutek swój już uczyniło, ozwał się w te słowa:

— Czy wiecie, waszmościowie, że pachołkowie przy łowieniu ryb znaleźli srebro klasztorne? Jest ono teraz tutaj i namyślam się, co z niem uczynić.

Wrzeszczowicz i Sadowski, jako że się zawsze nie lubili i zawsze różnego byli zdania, zaczęli się teraz kłócić z sobą. Müller przerwał im, mówiąc:

— A ja postanawiam srebro odesłać do klasztoru. Może dobroć i łaska więcej wskóra przeciw tym nieużytym mnichom, niż kule i armaty. Niech zrozumieją, że chcemy opanować fortecę, nie ich skarby.

Oficerowie ze zdziwieniem spojrzeli na Müllera, tak mało przywykli do takiej wspaniałomyślności z jego strony.

Sadowski zaś rzekł:

— Nic lepszego nie można uczynić: w twierdzy uczyni to z pewnością dobre wrażenie.

— Najlepsze wrażenie uczyni śmierć owego, który nam kolubrynę rozsadził — odparł Wrzeszczowicz.

— Już ten pewnie nie żyje? — odpowiedział Müller. — Aleś mi waszmość przypomniał na nowo tę stratę, niczem niewynagrodzoną. Było to największe działo w artyleryi jego królewskiej mości. Nie ukrywam panom, że wszystkie nadzieje moje na niem polegały. Wyłom już był uczyniony, strach w twierdzy szerzył się. Jeszcze parę dni, a bylibyśmy do szturmu ruszyli. Teraz za nic cała praca, za nic wszystkie wysilenia. Mur jednego dnia naprawią. A te działa, które nam zostały, nie lepsze od fortecznych, większych nie ma skąd wziąć. Mości panowie! Im dłużej się nad tem zastanawiam, tem klęska wydaje mi się straszniejszą!... I pomyśleć, że jeden człowiek ją zadał... Jeden pies... jeden szatan!.. Oszaleć przyjdzie! do wszystkich rogatych djabłów!..

Tu Müller uderzył pięścią w stół, bo go gniew niepohamowany chwycił, po chwili zakrzyknął:

— A co jego królewska mość powie, gdy go wieść o tej stracie dojdzie?!.. A co my poczniem? Zębami tej skały nie ugryziem! Bogdaj zaraza tych wybiła, którzy mi pod tę twierdzę namówili!...

To rzekłszy, porwał puhar kryształowy i w uniesieniu grzmotnął nim o podłogę, aż kryształ rozbił się na proch.

Oficerowie milczeli. Nieprzystojne uniesienie jenrała, właściwsze chłopu, niż wojownikowi tak wysoką piastującemu godność, zraziło doń serca i skwasiło do reszty humory.

— Radźcie, panowie! — zakrzyknął Müller.

— Radzić można tylko spokojnie — odparł książę Heski.

Müller począł sapać i wyparskiwać gniew nozdrzami. Po niejakim czasie uspokoił się i rzekł:

— Przepraszam waszmościów, ale gniew mój nie dziwota. Wszystko to, co się tu pod tą twierdzą dzieje, ludzki rozum po prostu przechodzi. Jednakże radzić trzeba... po to waćpanów wezwałem. Obradujcie więc... co postanowicie, spełnię.

Wasza dostojność! — rzekł książę Heski. — Mamy-li obradować jedynie nad zdobyciem fortecy, czy też i nad tem, czy nie lepiej odstąpić?

Müller nie chciał, aby owo: albo — albo wyszło po raz pierwszy z jego ust, więc rzekł:

— Niech każdy z panów mówi szczerze, co myśli.

Lecz żaden z oficerów nie chciał także pierwszy z radą odstąpienia wystąpić, więc znów nastało milczenie.

— Panie Sadowski! — rzekł znowu Müller tonem łaskawym i przyjaznym — pan szczerzej mówisz od innych, co myślisz?

— Myślę, jenerale, że położenie nasze jest rozpaczliwie...

— Wszakże pan byłeś za odstąpieniem od twierdzy?

— Za pozwoleniem waszej dostojności — odrzekł Sadowski — byłem tylko za tem, by nie rozpoczynać oblężenia. To wcale inna rzecz...

Więc co pan teraz radzisz?

— Teraz niech radzi pan Wrzeszczowicz — odpowiedział Sadowski.

Müller zaklął, jak poganin.

— Pan Weyhard będzie za całą tę nieszczęsną wyprawę odpowiadał! — rzekł.

— Nie wszystkie moje rady spełnione — odparł zuchwale Wrzeszczowicz. — Radziłem

owych księży posłujących powiesić i jestem pewny, że gdyby to zrobiono, postrach byłby między mnichami i otworzonoby już bramy tego kurnika.

Tu wmieszał się książę Heski.

— Nie nazywaj, hrabio, tej twierdzy kurnikiem, bo im bardziej zmniejszasz jej znaczenie, tem powiększasz naszą hańbę.

— Niemniej radziłem posłów powiesić, byłby postrach, ale pan Sadowski sprzeciwił się.

— Idź, panie hrabio, dzisiaj do fortecy — odpowiedział Sadowski — wysadź prochem największą ich armatę, jak to czynił u nas ich oficer, a ręczę, że to większy rozszerzy postrach, niż zbójeckie posłów mordowanie.

— Cóż teraz masz do powiedzenia, panie Weyhard? — pyta dalej Müller.

— Wiem — odrzekł Wrzeszczowicz — że w fortecy są tacy, którzy od dawna poddać się pragną, i tylko nadludzki upór przeora trzyma ich w karbach. Nowy postrach doda im nowej ochoty do poddania się, trzeba nam okazać, że nic nas nie obchodzi strata działa i szturmować tem usilniej.

— Czy to już wszystko? — spytał jenerał.

— Choćby to było wszystko, sądzę, że podobna rada zgodna jest z honorem szwedzkich żołnierzy. Ale to nie wszystko. Należy rozpuścić wieści, że górnicy, którzy teraz nad założeniem miny pracują, odkryli stary przechód podziemny, ciągnący się pod sam klasztor i kościół.

— Masz waszmość słuszność, to dobra rada! — rzekł Müller.

— Jak się wieść ta rozszerzy, sami Polacy będą namawiali mnichów do poddania się, bo im chodzi, jak mnichom, aby to gniazdo zabobonów ocalić—mówił dalej Wrzeszczowicz.

— I to mówi katolik — rzekł z oburzeniem Sadowski.

Lecz Müllerowi rada podobała się, bo rzeczywiście była nie złą. Byli w klasztorze ludzie słabszego ducha, którzy nieraz pragnęli poddania się, a przestrach mógł się rozszerzyć między załogą i ogarnąć nawet tych, którzy dotąd chcieli się bronić do ostatniej kropli krwi.

— Popróbujemy! popróbujemy! — mówił Müller, który jak tonący chwytał się każdej deski, i łatwo od rozpaczy przechodził do nadziei, i zaczęli się rozchodzić.

Wtem gwar, echa strzałów i tętent kilku koni rozległ się na zewnątrz i ukazał się we drzwiach oficer szwedzkich rajtarów.

— Jenerale! — krzyknął — wycieczka z klasztoru! Górnicy, kopiący minę, wybici do nogi! Oddział piechoty rozproszony.

— Oszaleję! — wrzasnął Müller, chwytając się za włosy — na koń!

Po chwili mknęli wszyscy, jak wicher ku klasztorowi, aż grudy śniegu sypały się, jak grad z pod kopyt końskich. Sto jazdy Sadowskiego przyłączyło się do nich i biegło w pomoc. Po drodze widzieli oddziały piechoty przerażone, uciekające w nieładzie i popłochu, tak bardzo upadły już serca niezrównanych zkądinąd żołnierzy szwedzkich. Opuszczono nawet szańce, którym żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Oficerowie i rajtarzy stratowali końmi kilkunastu własnych ludzi. Dopadli wreszcie o staję od fortecy, lecz po to tylko, by na wzniesieniu, widnem, jak na dłoni, ujrzeć, jak napastnicy wracają szczęśliwie do klasztoru. Spiewy, okrzyki radosne i śmiechy dochodziły od nich do uszu Müllera.

Pojedyńczy przystawali nawet i grozili w stronę sztabu krwawemi szablami. Poznali też samego Zamojskiego, który osobiście przywodził tej wycieczce, a który teraz dojrzawszy sztab, przystanął i kłaniał mu się z powagą czapką. Nie dziwota, czuł się już bezpieczny pod zasłoną dział fortecznych.

Jakoż na wałach zadymiło się i kule ze straszliwym świstem przelatywać zaczęły między oficerami. Kilku rajtarów zachwiało się się w kulbakach i jęk odpowiedział świstowi.

— Pod ogniem jesteśmy, cofnąć się! — zakomenderował Sadowski.

Inny chwycił za cugle Müllerowegó konia.

— Jenerale, cofajmy się!... tu śmierć...

Müller był jakby odrętwiały, nie odrzekł ni słowa. Wróciwszy do swej kwatery, zamknął się w niej i cały dzień nie chciał nikogo widzieć.

Tymczasem Wrzeszczowicz począł czynić nowe przygotowania do szturmu. Sypano nowe szańce, żołnierze łamali dalej po górnikach skałę, dla założenia miny. Ruch gorączkowy trwał w całym obozie szwedzkim; zdawało się, że nowy duch wstąpił w oblegających lub że im świeże posiłki przybyły.

W kilka dni później wieść gruchnęła po obozie szwedzkim, że kopacze znaleźli przechód podziemny, idący pod sam kościół i klasztor, i że, jak jenerał zechce, wysadzi całą twierdzę w powietrze.

Radość niezmierna ogarnęła znużonych mrozami, głodem i bezowocną pracą szwedzkich żołnierzy.

Okrzyki: „Mamy Częstochowę!.. Wysadzimy ten kurnik!“ — przebiegały z ust do ust. Rozpoczęły się uczty i pijatyka.

Wrzeszczowicz był wszędzie, zachęcał żołnierzy, potwierdzał sto razy dziennie wieść o

znalezieniu przechodu, podniecał uczty i hulatyki.

Echa tej radości doszły nakoniec i do Częstochowy. Wiadomość o minach, już założonych i gotowych do wybuchu, rozbiegła się z szybkością błyskawicy z jednego końca wałów na drugi. Najodważniejsi nawet zlękli się. Niewiasty z płaczem poczęły oblegać mieszkanie przeora, wyciągać ku niemu dzieci, gdy ukazywał się na chwilę i wołać:

— Nie gub niewinnych!... krew ich spadnie na ciebie!...

Im kto większym był tchórzem, z tem większą odwagą nacierał teraz na księdza Kordeckiego, aby nie narażał na zgubę świętego miejsca, stolicy Najświętszej Panny.

Nastały tak ciężkie chwile i tak bolesne dla tego bohatera w habicie, jakich nigdy dotąd nie bywało. Szwedzi zaniechali szturmów, aby tem dowodniej okazać oblężonym, że już nie potrzebują ni kul, ni armat, dość im jednę nitkę prochową zapalić. Przerażenie więc rosło w klasztorze. W czasie głuchych nocy niektórym najtchórzliwszym wydawało się, że słyszą już pod ziemią jakieś szmery, jakieś ruchy, że Szwedzi są już pod samym klasztorem. Upadła wreszcie na duchu i znaczna część zakonników. Ci, z Ojcem Starodomskim na czele udali się do przeora, by niezwłocznie rokowania o poddanie się rozpoczął. Z nimi razem poszło kilku żołnierzy i kilku szlachty.

Wówczas ksiądz Kordecki wyszedł na podwórze, a gdy tłum otoczył go ściśniętym kołem, tak mówić począł:

— Zali nie przysięgliśmy sobie, że do ostatniej kropli krwi bronić świętego przybytku będziemy? Zaprawdę powiadam wam, jeżeli prochy nas wyrzucą, to tylko liche ciała nasze, tylko doczesne zwłoki opadną z powrotem na ziemię, a dusze już nie wrócą...

Niebo otworzy się nad niemi, i tam wejdą w wesele, w szczęśliwość, jako morze bez granic. Tam Jezus Chrystus je przyjmie i ta Matka Najświętsza, i wyjdzie przeciw nim, a one jako pszczoły złote siędą na Jej płaszczu i w światłości się zanurzą i w oblicze Boga patrzeć będą...

Tu jakby blask tej światłości zaświtał na twarzy jego, oczy natchnione wzniósł w górę i mówił dalej z powagą i spokojem zaziemskim:

— Panie, który światami rządzisz, Ty patrzysz w serce moje i wiesz, że nie kłamię ludowi temu, mówiąc, iż gdybym własnej szczęśliwości tylko pragnął, tedybym ręce wyciągnął ku Tobie i wołałbym z głębi duszy mojej: „Panie, spraw, aby te prochy były, aby wybuchły, bo w takiej śmierci jest odkupienie win i grzechów, bo jest odpoczynek wieczny, a sługa Twój znużon i spracowan już bardzo... I któżby nie chciał takiej nagrody za śmierć bez męki, jako mgnienie oka krótką, jako błyskawica na niebie przemijającą, po której wieczność niezmienna, szczęście nieprzebrane, radość bez końca!...

Lecz Ty mi kazałeś strzedz przybytku Twego, więc mi odejść nie wolno; Tyś mnie na straży postawił, więc wlałeś we mnie moc Twoją, i wiem to Panie, i widzę, i czuję, że choćby złość nieprzyjacielska aż pod ów kościół dotarła, choćby wszystkie prochy i niszczące saletry pod nim złożono, dośćby mi było je przeżegnać, ażeby nie wybuchły...

(Dokończenie nastąpi.)

Świętojózafacie

czyli składka na ubogich studentów katolicko-polskich.

W kasie (zob. nr. 51)	219,64 m.
P. Tomasz Bałdowski (wręczył p. W. Grzeszewski z Wanne)	1,00 m.
P. Ignacy Jankowski (wręczył p. W. Grzeszewski z Wanne)	0,50 „
Podczas „gwiazdki“ Tow. św. Józefa i Koła śpiewu „Harfa“ w Wanne (wręczył p. W. Grzeszewski)	17,05 „
Z posiedzenia Tow. św. Józefa w Wanne w dniu 13 listopada r. b. (wręczył p. W. Grzeszewski)	3,80 „
Z „gwiazdki“ Tow. św Kazimierza w Lütgendortmund (nadesłał p. Piotr Stankowiak)	7,75 „
P. A. Wojczyński, Gelsenkirchen	3,00 „
P. Antoni Ciesielski z Günnigfeld	5,00 „
W. F. z H.	0,50 „
Ze skarbonki Tow. św. Jana Ewang. w Witten (nadesłał p. Ign. Lenartowicz — porto 25 f.)	12,05 „
Razem	270,29 m.

Odchodzi:

M. S. w P. na pensyę	100,00 m.	
L. P. w B. na bilet kolejowy do Wielkiejnocy 12 mr., stypendyum 15 mr.	27,00 „	
Razem	127,00 m.	127,00 m.
Pozostaje w kasie:		143,29 m.

Bóg zapłać! Św. Józafacie, módl się za nami!

28. 12. 1898 pro: Ks. Liss.

Jan Bieliński, Bochum Maltheserstr. 17a.

Kalendarz tygodniowy.

Styczeń 1899.

1. Niedziela. **Nowy Rok.**
2. Poniedziałek. Makarego pust.
3. Wtorek. Daniela i Gen.
4. Sroda. Tytusa biskupa.
5. Czwartek. Telesfora pap.
6. Piątek. **Św. Trzech Króli.**
7. Sobota. Łucyana męcz.

Redaktor odpowiedzialny: ks. Franciszek Liss w Rumianie. — Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Wiarusa Polskiego“.

